ROK I. NIEDZIELA. 5 CZERWIEC. 1842.

Roczniki krytyki literackiéj wychodzą dwa razy w tydzień, we Środę i w Niedzielę, w objętości dużego pół arkusza. Numerów pięćdziesiąt i dwa, czyli jedno półrocze, stanowić będzie Tom; — dwa Tomy stanowią całość.

Przedpłata roczna wynosi R s. 5, k 40 półroczna R. s 3, kwartalna R. s. 1 k. 80 — *Prenumerować można:*

W Redakcyi Roczników krytyki literackiéj, przy ulicy Tłomackie Nr. 739 w pałacu dawniéj Ossolińskich, w officynie na 1szém piętrze;

U osób prywatnych które się tem zajmować raczą;

We wszystkich znaczniéjszych księgarniach w kraju i za granicą;

Na Urzędach i Stacjach Pocztowych w królestwie; lecz tam jedynie za przedpłatą roczną lub półroczną.

Szan: Prenumeratorowi: w Warszawie mieszkający, na żądanie nadesłane sobie mieć będą Roczniki do mieszkań swoich bez żadnéj nadpłaty. —

Nr 43.

ROCZNIKI KRYTYKI LITERACKIEJ.

REDAKTOR GŁÓWNY: FR. HENRYK LEWESTAM.

PRZECZUCIE

Komedijka, we trzech aktach przez Johna of Dycalp. Wilno. Nakład i druk Teof. Glücksberga. 1842.

Dążeniem jest teraźniejszych naszych poetów i autorów, aby całkiem nowe dla siebie formy uzyskać, — a to dążenie wcisnęło téż i literaturze piętno zupełnie nowe. Szkoda tylko że droga, jaką na dopięcie takiego zamiaru obrali, rzadko kiedy bywa prawdziwą: krytyka zaś przy podobnych utworach znajduje się w arcyprzykrém położeniu. Wiele z tych utworów leży nawet zupełnie po za obrębem krytyki: bo cóż powié krytyk, kiedy ani do formy, ani do myśli, ani do charakterystyki, ani do języka żadnéj skali przyłożyć nie można? tuby chyba musiał zostać karykaturzystą, jeśli jakiekolwiek chce na czytelnikach swoich zrobić wrażenie; i rzeczywiście, gdyby tylko takim narysował portret każdego z tych mniemanych poetów, jakim się z płodów swoich wydaje, ręczymy iżby trudno było o pocieszniejszą i doborniejszą galerję materjałów.

Wyznajemy, że wstęp takowy nie bardzo jest zaszczytny dla dziełka, które dzisiaj rozebrać zamyślamy, — ale wyznajemy zarazem, że cokolwiek o niém ostrego powiedzieć możemy, zawsze to będzie niemniéj zasłużone jak sprawiedliwe. Najdziwniejszą bowiem jest rzeczą, że autor téj komedijki, któréj zbywa na wszystkich zgoła żywiołach dramatycznych: na akcji, na intrydze i na drastyczności djalogu, w przedmowie swojéj występuje z uwagami teoretycznemi i że chce jakąś zaprowadzić reformę w poezji dramatycznéj. Dowiadujemy się z pism Jarosza Bejły i J. J. Kraszewskiego, że p. *John of Dycalp* używa jakiegoś znaczenia w literaturze swojéj prowincji: dla nas autor *Pism przedślubnych i przedsplinowych* nie mógł jeszcze jako taki uzyskać żadnéj powagi. A jakkolwiek wspomnione uwagi teoretyczne nie są bez wszelkiéj zasady na prawdzie opartéj, przecięż kontrast, jaki się wykazuje między rozumnością w teorji,

a brakiem jéj w wykonaniu, tém gorsze rzuca światło na cały talent autora. Któż bowiem w takiéj rzeczy nie zastosuje do niego, owego pospolitego a tyle razy prawdziwego sposobu mówienia: *chciałby biedak, ale nie może*!

Jakkolwiek p. John of Dycalp utrzymuje, «że się »wybornie obejść można w utworach dramatycznych »bez téj listy osób, umieszczonéj na wstępie i zapo- »wiedającéj z góry: kto ma bydź królem, kto księ- «ciem, ojcem, matką, bratem, sługą i t. d.», — jednakże, kiedy się zabieramy do określenia treści *Przeczucia*, sądzimy za potrzebne zacząć właśnie od wprowadzenia osób w komedijce téj występujących. Jest tam dwóch ojców, jeden Stolnik, drugi Starosta, z których pierwszy ma córkę a drugi syna; jest tam subretka Polka i kamerdyner francuzki; jest dwóch lokai, z których jeden do niczego tylko do gry w karty przydatny; jest zmiana sceny: pierwsza, przedpokój na wsi, — druga, pokoik tamże, — trzecia, przedpokój w mieście. Widzimy tedy, iż są wszelkie rekwizyta, jakich po dobrze urodzonéj i przyzwoicie wychowanéj komedijce wymagać możemy.

Zaczyna się *dramat* od marjasza czy rummel pikiety; grającemi zaś osobami są *Łukasz i Wojciéch*, wierni domu Stolnikowego służalcy. Bawią się właśnie w najlepsze, kiedy pędem wlatuje jakiś impertynent nieznany; twierdzi że jest lokajem, a to Piotrem, i błaga pomocy dla swego pana, którego właśnie zjeść miały wilki, kiedy sam zaczął uciekać co żywo. Starym graczom nie bardzo coś chce się opuszczać *Panfila* dla wilków i słoty wieczornéj, kiedy wchodzi albo raczéj wychodzi *Anna*, córka Stolnika. Przypomniało się zaś pannie Annie, że dziś właśnie poczta nadeszła: kochany tatunio spodziewał się listu, a córunia wyséła *serdecznego Łukasza*, aby nazajutrz pierwsza podać mu pismo tak pożądane. Działa w tém Anna nie tyle bezinteresownie, ile się na rzut oka wydaje: ma ona bowiem jakieś *przeczucie*, że w tym liście o niéj także jest mowa. Wychodzi »edy do starego Łukasza i postrzega młodego Piotra: nowe przeczucie, że to może nie Piotr, *ale jaki* — Paweł. Następuje powtórnie powieść o wilkach i o panu a piękna Anna zdjęta litością, póty na starego nalega, póki nie zostawia przy niéj młodego, a sam o wsi śpieszy po ludzi. Akt pierwszy na tém sio kończy, »że pan Piotr zastaje już na poczcie swojego pana »zdrowego i całego. Poszeptali cóś z sobą, pośmieli «się jak warjaty, rzucili ludziom kilka złotówek na piwo, i natychmiast na złamanie szyi polecieli pocztą «daléj. Sługus zaś ich powiada, że mają stanąć nad »rankiem w Wilnie.«

W drugim akcie przybywa Starosta, stary zrzęda, który się ciągle na lekkomyślność Erazma, syna swego, użala, a przecięż gdy go na ślub prowadzi, z osobna go naprzód wyséła. Pan Starosta jest stronnikiem dawnego wychowania, a ustęp w którym opisuje zawiedzione na synu w kollegium Warszawskiém nadzieje, najlepszym może jest z całéj książeczki. »Dzieciuchem« mówi pan Starosta, »wyjechał mi z »domu, jakim go chciał miéć Pan Bóg, cierpliwy, «powolny, z dobrym już akcentem łacińskim, i jak »przystało na przyszłego obywatela, w żupaniku, przy «karabeli, z czupryną podgoloną, aż słodko było nań «patrzyć. Po sześciu latach wraca mi do domu obci- »śnięty, oblizany, oszyty jak piłka — *jam, jam of- »fluebant lacrymae*, na gorącym razie omal żem się »łzami nie zalał! przezwyciężyłem się jednak. Łupi- »na, pomyślałem sobie, może bydź czasem niepozor- »na, a ziarnko dlatego dobre. — Przedeklamuj mi »Waść, rzekłem, szóstą księgę Wirgiljusza! — Aż «tu mój pan Erazm, jak posolony piskorz, daléj się «wykręcać: — Ale bo widzi Papa Dobrodziéj, dawa- »no nam do uczenia się bardzo dobre tłómaczenie »Eneidy przez Księdza Dmóchowskiego, i jeżeli Papa »Dobrodziéj rozkaże.... — Niech tam będzie zdrów »Ks. Dmóchowski, *salva reverentia status*: odpowie- «działem tknięty już żalem. To mi Waść przeskanduj »przynajmniéj Odę Horacjusza: *Rectius vives Licini*! — »Odę tę i wiele innych przełożył wybornie po polsku Ks. «Naruszewicz. — To czegóż Waściów uczono? Z Wa- »ścią, jak widzę, *de humanioribus* i gadać niéma cze- »go. Czy przynajmniéj uczono was Grammatyki i Elo- «kwencji? — Gramatykę polską, przez siebie ułożo- «ną wykładał nam Ks. Kopczyński, a prawidła wy- «mowy czytano nam podług Ks. Konarskiego. — Po- «dług Konarskiego! Kłaniam uniżenie! Ksiądz ten »wmięszał się wszędzie i zalał za skórę wszystkim »stanom! Nie darmo do niego zastosowali Ojcowie »Jezuici te słowa: *hic positus est in ruinam*! — Da- »léj, daléj, aż się to odkryło, że ich ledwie coś nie »coś, piąte przez dziesiąte uczono po łacinie, ale za »to francuzczyzny, Geometrji, Fizyki, Astronomji, »niemczyzny *et caetera*, et *caetera*, więcéj niż w któ- «réjkolwiek Akademji niemieckiéj. *Ex omnibus aliquid, de toto nihil*! I w dodatku jeszcze, co u nas »bywało, publiczne djalogi ledwie raz dwa odprawia- »ły się do roku, przed wakacjami i na imieniny Księ- «dza Rektora, u nich *theatrum* każdego niemal świę-

»ła. Skończyło się na tém, że] powrócił mi z tego »zawołanego *Collegium* istnym wartogłowem.»

Jakkolwiek w téj mowie pana Starosty więcéj może soli, aniżeli w całym razem wziętém *Przeczuciu*, przecięż i w tym drobnym ustępie łatwo baczny czytelnik dostrzeże zupełny brak wszelkiéj żywości dramatycznéj: myślałby kto że czyta w listach nowellę. Tém wszystkiém zaś panna Anna bynajmniéj się zrazić nie daje. Pan Erazm, którego tak niekorzystnie własny ojciec wystawił, jest trzpiotem: *raison de plus* żeby jéj się podobał. *Przeczucie* jakieś mówi jéj, że będzie szczęśliwą; to dosyć. Szanowni więc ojcowie myślą o zbliżeniu do siebie obojga narzeczonych, ale chcą ich tak zbliżyć, aby sama para o niczém nie miała domysłu. Ten sam zamiar jednocześnie powstaje w panu Erazmie, — ten sam panna Anna objawia. Pierwszy na swojém miejscu poséła kamerdynera Francuza, — druga swawolną subretkę w swoje suknie ubiera. Powolni dla autora sztuczki ojcowie, jakby na umysł, wychodzą: a skutkiem takiego przewdziewania strojów jest scena pełna zamięszania, niby-zamięszania, którą-to intrygę, niby-intrygę, przybycie dwóch starców przerywa. Poczém następują zaręczyny, a na resztę spada zasłona.

Zdaje się, iż dosyć już rzeczywiście tych nudów, dla których ostatni wyraz na ostatniéj stronnicy za najszczęśliwsze ze strony autora uważamy *przeczucie*. Bo w istocie, może-li przedmiot bardziéj oklepany bydź oddanym w równie oklepanéj scenerji? Możeli w naszych czasach (a wstyd dla nas że może) wyjeżdżać z podobnemi utworami autor, który w swoim obrębie nawet pewną sławę pozyskał? Najlepsza-to i najniechybniéjsza oznaka, ile mało stanowi w piśmiennictwie sława miejscowa: naszém téż daniem nie podobna zbyt ostro skarcić tak grubéj zuchwałości, która miedź na nowo odbitą za czerwone złoto wydaje. Tu bowiem zupełny brak talentu twórczości i wykonania, podszywanie się pod liche zwłaszcza obce utwory, i wynikające ztąd łaknącemu czytelnikowi sprawione obrzydzenie, na równi stoją z fałszerstwem literackiém: a kto się takiego raz dopuścił przestępstwa, tego i pseudonym angielski od słusznego nie uchroni wyroku.

F. H. L.

O SOMNAMBULIZMIE.

Der Somnabulismus von Friedrich Fischer.
Trzy tomy. Bazel. 1841.

Życie ludzkie uważane ze strony umysłowéj równie jak fizycznéj ma pewne punkta, które nie zupełnie jeszcze są wyświecone, i które dlatego stają się coraz nowemi zagadkami dla układów naukowych i dla objaśnienia części poznanych. Ani psychologja, ani fizjologja, nie dochodzą końca o tyle, o ile zawsze nowym podlegają badaniom, — obie zaś te nauki, które słusznie nazwano bliźniętami w dziedzinie naukowéj, wspólną sobie mają osobliwość w somnambulizmie. Spać, a jednak postrzegać, myśléć i mówić, a to w pewnéj mierze na wyższém nawet jak zazwyczaj stanowisku, — późniéj po przebudzeniu się nie pamiętać niczego, — bydź zachwyconym przy zmysłach nieczułych, — bez żadnych wiadomości lekarskich leczyć siebie samego (po części także i innych), — wciągnąć do zakresu swego widzenia rzeczy oddalone i przyszłe, czasem nawet i niewidzialne t. j. duchy, — wszystko to jest zjawiskiem obcém dla zwyczajnych doświadczeń, wszystko to słuszne w nas wzbudza zadziwienie. Łatwo zresztą takie zjawiska jako niepodobne do prawdy odrzucić, kiedy się je uważa wprost tylko jako złudzenia i wieści niedowiedzione, — łatwiéj jeszcze wyprowadzić je za właściwe sobie granice, kiedy się w nich szuka objawienia światów niebieskich, pełnego przypuszczeń religijnych i metafizycznych. Wszakże zbyt wielu świadków wiarogodnych potwierdza rzeczywistość somnambulizmu, aby rozsądną mogło bydź rzeczą, zupełnie o nim powątpić, — zbyt wiele sprzeczności zawartych jest w objawieniach jasnowidzących, abyśmy bez nieuzasadnionéj niczém exaltacji na bezwarunkową wiarę odważyć się mogli.

Niechaj nam wolno będzie przedewszystkiém nasze szczegółowe wykazać pojęcie tak ważnéj i z takim zapałem ciągle jeszcze toczącéj się sprawy. Część umysłowa i fizyczna, dusza i ciało, jako jedność składają osobistą człowieka istotę, i jakkolwiek uważane bywają za zupełnie od siebie odrębne, przecięż gdy

nie stanowią zarazem oznak oddzielnych, zobopólnie działają na siebie i w ciągłym są między sobą stosunku. Jeśli kto dokładne chce mieć wyobrażenie o różnicy między temi dwiema częściami zachodzić mogącéj, powiemy mu tylko, że w saméj rzeczy dusza jest czynną wewnętrznie, że jest panującą, gdy tymczasem ciało zawisłe i podległe, — że przecięż pierwsza nie działa bez wzajemnego wpływu drugiego, że nigdy tak spokjonych ze sobą żywiołów z oczu spuścić nie można. Widzimy, słyszemy, poznajemy i t. d. świat zewnętrzny za pomocą zmysłów fizycznych, ale temi zmysłami nie są samo przez się widzenie, słuchanie i poznanie. Poprzedza te czynności ciągła kombinacja wewnętrzna, która z swojéj znowu strony polega na reprodukcji rzeczy w sposób zmysłowy przyjętych. Ztąd wykazuje się konieczność wiedzy dwóch odrębnych od siebie światów: jednego fizycznego i obserwacją kierowanego, — drugiego, swiata myśli i czucia: w obu zaś żyje indywidualna istota człowiecza. Podczas snu nocnego niknie ów świat pierwszy, zmysłowy, — ale drugi zostaje, i przypuścić nawet możemy, że działalność duszy nie kończy się we śnie, jakkolwiek po przebudzeniu się nie pamiętamy niczego. Za takowém przepuszczeniem *sny* jeszcze przemawiają, — one bowiem stanowią przejście ze snu do czuwania, lub odwrotnie; zdaniem naszém należą także do takiego przeistoczenia owe dziwne czasem przeczucia i usposobienia chwilowe, które z świata snów do naszego świata czujnego dość często się wkradają. Dlatego-to uważaćby nawet można jedną stronę życia (snu) i dzienną (czuwania), — a przypuściwszy raz nocną na zawsze takie dwie strony, czemużby działalność duszy strony nocnéj niemiała bydź wolniejszą i większą aniżeli we dnie? — czemużby tém samém nie mogły powstać kombinacje myślenia, na których zbywa czuwaniu? Przy śnie zwyczajnym takiego życia podwyższonego w drugich nie postrzegamy: zostaje ono zamknięte wewnątrz każdéj osobistości i nieznane nawet jest samemu człowiekowi śpiącemu, skoro się tylko przebudzi: somnambulizm przeciwnie jest stanem, podczas które go osoba snem umorzona czy to mową, czyli téż innym jakim sposobem niektóre z tych rzeczy prawem natury utajonych innnym odkrywa, i wchodząc w pewne związki ze światem zewnętrznym, snu bynajmniéj nie przerywając, zupełnie inaczéj jak podczas całkowitego czuwania czynności swoje odbywa. Postrzegaczowi zdaje się to rzeczą nadzwyczajną i dziwną; — w istocie zaś należy to tylko (jakkolwiek w stanie niedostatecznie wykrytym) do zwykłego biegu życia, i gdybyśmy na drodze takiego rozumowania postępowali za zdaniem niektórych Biologów, wykazujących w starości człowieka mniejsze zajęcie się zjawiskami świata dziennego, tedyby łatwo było dowieść w postępie lat po sobie idących przejścia tego świata w świat nocny, aż dopóki zupełne nienastąpi rozprężenie za ustaniem istnienia zmysłowego.

Dzieło p. ***Fischera***, które nam do złożenia takowych uwag sposobność podało, równie jak inne dzieła tego w świecie naukowym zaszczytnie znanego psychologa, zawiera wszystko cokolwiek w tak ważnéj kwestji, jaką jest somnambulizm, każdego z nas zająć ma prawo. W pierwszym tomie mowa jest o lunatyzmie i o wizjach, w drugim o magnetyzmie zwierzęcym, w trzecim zaś o jasnowidzeniu i o opętaniu. W nadziei że krótki rozbiór tych ogółowych rozdziałów nie będzie przeciwnym usposobieniu naszych czytelników, zabieramy się do wytknięcia najważniejszych momentów, jakie w tém dziele upatrzyć możemy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

P. ***Henry W. Acland*** wydał dziełko p. t.: »The plains of Troy. Illustrated by a panoramic drawing taken on the spot, and a map constructed after the last survey. Oxford 1842. (***Równiny Troji, objaśnione rysunkiem panoramicznym zdjętym z pagórka i mappą ułożoną podług ostatniego rozmiaru***). Ten rysunek panoramiczny zdjęty z pagórka *Aesyetesa Αἰσυήταο γέροντος* — daléj mappa i opis do tych rycin przydany, nie bez słuszności we wszystkich dziennikach angielskich każdemu lubownikowi starożytności a nadewszystko Homera jako niezbędnie potrzebne są zalecane.